

# Hanna Horban

---

## Szczęśliwa siódemka

---

Przegląd Pruszkowski nr spec., 142-145

---

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## SZCZĘŚLIWA SIÓDEMKA

Liceum Zana było szkołą, którą wybrałam bez wahania na kontynuowanie mojej edukacji. Wynikało to trochę z tradycji rodzinnej; byłam bowiem siódmym członkiem mojej rodziny, który przekroczył progi tej szkoły – moi rodzice przetarli szlak, następnie moje rodzeństwo cioteczne – Olek i jego siostra Hania oraz mój brat Andrzej i siostra Ola. W 1972 po wstępnych egzaminach dostałam się do klasy z językiem francuskim, której wychowawcą był pan profesor Stefan Ciesielski. Uczył nas fizyki. Pan profesor był dość „malowniczą” postacią – przez czteroletni okres mojego pobytu w liceum nosił codziennie to samo ubranie – była to ciemnoniebieska koszula z non-ironu w białe paski, która na wycieczce klasowej okazała się być górą od piżamy oraz spodnie z polskiego jeansu. Do tego teczka bez uszek. Pamiętam, że nasza klasa kupiła panu profesorowi na zakończenie roku szkolnego prezent – była to piękna skórzana teczka, której nigdy u niego nie widzieliśmy. O panu profesorze krążyły różne historyjki – podobno gdy miał dziurę w skarpetce to, by jej nie było widać, zamalowywał nogę flamastrem w kolorze skarpetki. Miał chyba słabość do malowania, bo jego włosy miały dziwny, prawie czarny kolor – podobno je farbował.

O panu profesorze, którego wszyscy nazywali „Flejo”, ktoś napisał taki oto wierszyk:

*Kiedy ranne wstają zorze nasz „Flejtuszek” wstać nie może  
Nie ma spodni ani gaci bo dyrekcja mało płaci  
Więc się złożmy po złotówce, kupmy gacie tej makówce  
Więc się złożmy całą kupą, niech nie świeci gołą...*

Języka polskiego uczyła nas pani profesor Halina Bazarewska – pamiętam jej małą postać, często siadała na stoliku zakładając nogę na nogę i zapoznawała nas z pisarzami, poetami polskimi i europejskimi oraz ich twórczością – znała na pamięć fragmenty utworów, które nam cytowała. Bardzo lubiłam jej lekcje. Po maturze miałam okazję spotykać się z panią profesor; będąc w przyjaźni z moją Mamą była częstym gościem w naszym domu.

„Madame” – czyli pani Irena Marynowska – była nauczycielką języka francuskiego. Była elegancką szczupłą panią, która absolutnie nie umiała utrzymać w ryzach swoich uczniów. W czasie lekcji nikt nie uważał, wszyscy rozrabiali. Gdy Pani profesor sprawdzała naszą znajomość języka, najczęściej stawianą oceną była dwójka, którą „Madame” pisała na stoliku, a nie w dzienniku; tak naprawdę nie chciała nam stawiać złych ocen. Gdy była mocno zdenerwowana mogliśmy usłyszeć zdanie, które zapadło nam w pamięć – było to „fermez le bec” co znaczy – „zamknijcie dziób”. Robiliśmy różne kawały, by nie było lekcji – pamiętam, że ktoś włożył małą monetę w zamek i nie można było wtedy otworzyć drzwi do klasy. Pani profesor, niezrażona, kazała nam usiąść na korytarzu, by tam poprowadzić lekcje.

Pan profesor Włodzimierz Wojkowski, zwany „Puszkinem”, był wyrozumiałym nauczycielem – wiedział doskonale jaki był stosunek większości uczniów do nauki języka rosyjskiego. Lubił młodzież – przejawiało się to w jego pasji, którym było harcerstwo – organizował spływy kajakowe, wakacje na żaglach. Wszyscy nazywali go „Puszkinem” i pamiętam taką sytuację gdy mama jednego z uczniów przyszła do pokoju nauczycielskiego i spytała o profesora Puszkina.

Gdy dostałam się do liceum wielu starych stażem nauczycieli odeszło na emeryturę, wśród nich pani Anterszlak – wspaniała profesor historii. Nasza klasa nie miała szczęścia do wykładowców tego przedmiotu. Z grona starszych nauczycieli pozostała pani profesor Bronisława Bacia – wymagająca i bardzo zdolna matematyczka, która powinna wykładać na wyższej uczelni, a nie

męczyć się z „matołami”. Podobno potrafiła mnożyć w pamięci trzycyfrowe liczby. Pamiętam z opowieści moich rodziców, którzy byli z nią w przyjaźni, jak kiedyś poprosili ją o pomoc w rozwiązaniu jakiegoś trudnego zadania. Pani profesor, nie przerywając rozmowy z moją mamą, coś napisała na kartce – po powrocie do domu Mama stwierdziła, że były na niej tylko dane i wynik. Lekcje matematyki odbywały się w pracowni PO – profesor siedząc przy stole nie widział drzwi wejściowych. Cześć uczniów wymykała się z klasy w czasie lekcji. Gdy pani profesor po sprawdzeniu listy obecności przystępowała do odpytywania uczniów okazywało się, że większości nie ma pomimo że chwilę wcześniej wszyscy byli. Pamiętam, że pani profesor spotykając uczennicę lub ucznia na ulicy w godzinach późno popołudniowych lub wieczornych miała zwyczaj mówić: „A cóż ty panno (lub kawalerze) robisz na ulicy zamiast siedzieć w domu i uczyć się”.

Kolejnym profesorem, o którym chciałabym wspomnieć, był pan profesor Stefan Gierwatowski – uczył nas chemii – miał zwyczaj odpytywania przy tablicy z wzorów tlenku węgla, dwutlenku siarki itp. Trzeba było porządnie wykuć się na pamięć wszystkich tych wzorów i wiedzieć jaki był wynik łączenia się wspomnianego wyżej tlenku węgla z dwutlenkiem siarki, wapnia czy innego pierwiastka. Sala chemiczna była nieduża, więc zajęcia z chemii odbywały się w małych grupach mniej więcej po 20 osób. Pan profesor miał zwyczaj wywoływania do tablicy po tzw. „numerach” byli to bądź uczniowie z numerami parzystymi, bądź co piąty uczeń na liście. Ja byłam dziesiąta na liście więc często zdarzało mi się łądować przy tablicy.

Geografii nauczał nas ówczesny dyrektor liceum pan profesor Jan Gilewicz zwany „Grzybem”, prawdopodobnie z racji swego niewielkiego wzrostu. Był dość surowym i wymagającym profesorem – być może pamiętał z Trylogii postać Pułkownika Wołodyjowskiego, któremu powtarzano w młodości: „albo będą się ciebie bali, albo będą się z ciebie śmiali”.

Pani profesor Maria Winiarska – profesor biologii, usiłowała wbić nam do głów jak zbudowane są ssaki, gady i owady; mam wrażenie, że przez cały okres swego nauczania w liceum posługiwała się tymi samymi skryptami (notatki w zeszytach mojego starszego rodzeństwa były takie same) dyktując nam bardzo szczegółowe opisy układów oddechowych, rozrodczych i innych.

Lekcje WF odbywały się z panią profesor Marią Złotorzyńską; w naszej szkole tak naprawdę nie było warunków do prowadzenia lekcji gimnastyki, młodzież więc niezbyt chętnie ćwiczyła. Pani profesor, zwana „Krową”, miała zwyczaj powtarzać: „ćwiczcie, ćwiczcie dziewczynki, a będziecie takie zgrabne jak ja”, co dodatkowo zniechęcało nas do uczestnictwa w jej lekcjach.

Pan profesor Bronisław Siemdaj miał z nami zajęcia Przysposobienia Obronnego – uczył nas musztry i strzelania. Pamiętam jak na zajęciach na świeżym powietrzu pan profesor wydawał nam komendy „bacność”, „spocznij” itp., a przy mojej nodze był jakiś beapanski pies, który towarzyszył mi wszędzie przez kilka dni kiedy moja suczka miała cieczkę. Pan profesor kazał mi przepędzić psa, który jednak nic sobie nie robił z moich prób wyprowadzenia go poza teren szkoły.

Chciałam na zakończenie powiedzieć parę słów o mojej klasie – nie będę opisywała ich z imienia i nazwiska – kilka koleżanek i kolegów było ze mną w szkole podstawowej, w większości byli to uczniowie z innych szkół – wśród nich była grupa koszykarek. Byliśmy zgraną klasą, przez te cztery lata zawiązały się przyjaźnie, przeżyliśmy wiele niezapomnianych chwil. Spotykamy się od czasu do czasu, by pośmiać się i powspominać nasze młode, beztrioskie lata. Można powiedzieć, że każdy z nas, pomimo czasami negatywnych opinii naszych profesorów, osiągnął w życiu jakiś sukces.